

„Azyl” Krystiana Lupa w Teatrze Polskim we Wrocławiu

# GOŁY CZŁOWIEK

*Lupa dotyka słabego punktu we współczesnym człowieku. Na pozór jest on świetnie zorganizowany i racjonalny. W głębi ducha pusty, samotny i zrozpaczony*

**D**wadzieścia parę lat temu Krystian Lupa zaczynał od hermetycznych przedstawień dla garstki wyznawców swojego teatru w Jeleniej Górze. Dzisiaj każda jego premiera wywołuje poruszenie, a teatr Lupa stał się punktem odniesienia dla polskiej kultury w ogóle.

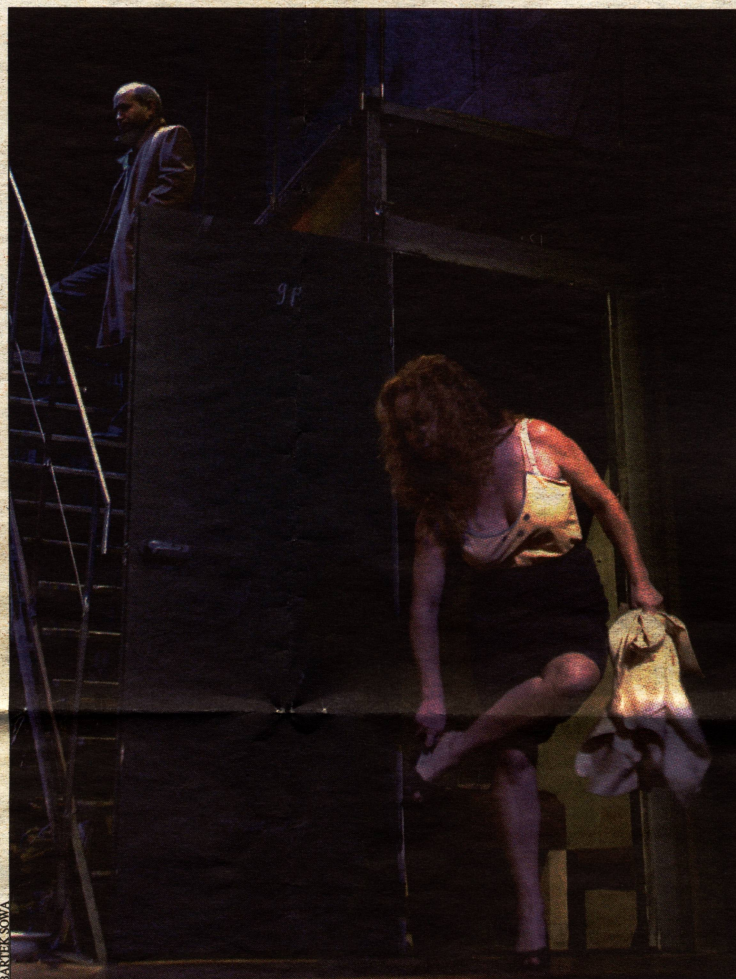
Spośród wielu cech jego twórczości jedna z upływem czasu wysuwa się na pierwszy plan. Chodzi o powód robienia przedstawień. W polskim teatrze, który zajmuje się głównie mniej lub bardziej zawołowaną rozrywką, Lupa broni poznawczej funkcji teatru. Jego przedstawienia są narzędziem poznania duchowej strony życia. To jedyne w swoim rodzaju laboratorium, w którym człowiek współczesny może odkryć, co w nim tkwi pod powierzchowną warstwą cywilizacyjnej i kulturowej ogłady, i to bez ryzyka wpadnięcia w obłęd czy narażenia się na śmieszność.

„Azyl” jest kolejnym takim laboratorium po „Lunatykach”, „Wymazywaniu” oraz „Mistrzu i Małgorzacie”, trzech przybliżeniach XX-wiecznej duchowości. Ale ten eksperyment jest najbardziej bolesny. Lupa posłużył się dramatem Maksyma Gorkiego „Na dzień” – bezlitosnym i prze-rażającym obrazem ludzi wytraconych ze społecznego porządku, pozbawionych swoich zawodów, pochodzenia, majątku i umieszczonych w przytułku dla bezdomnych. Ich społeczna sytuacja nie zajmuje reżysera tak bardzo jak stan duchowy, w jakim się znaleźli. Lupa zdjął z dramatu Gorkiego ciężar marksistowskich interpretacji i wyciągnął to, co najważniejsze – egzystencjalną sytuację ludzi na dzień. Jeden z bohaterów przedstawienia ujmuje tę kwestię jednym, mocnym zdaniem: „Wszystko zlało, został goły człowiek”.

## Na dzień

To najbardziej drastyczne ze wszystkich przedstawień Lupa. Reżyser doprowadził we Wrocławiu do zderzenia dwóch rzeczywistości. Naprzeciw supernowoczesnej widowni Teatru Polskiego, z rozkładanymi fotelami, tłumiącymi kroki wykładzianami i starannie dobranym kolorem ścian, zbudował świat brudnej noclegowni urzędzonej w starym wnętrzu fabryki. Kiedy podnosi się metalowa kurtyna szczególnie oddzielająca te dwa światy, widać pokryte graffiti ściany, a między nimi rzędy metalowych, piętrowych łóżek. Siedzą na nich lokatorzy w brudnej bieliznie. Jeszcze nie wytrzeźwieli po nocy i bełkoczą coś, krzyczą, rzucają się do bójk, aby za chwilę bratać się we łzach. Potem powoli nakładają garderobę ze śmietnika i zataczając się, ruszają na miasto jeden po drugim.

W polskim teatrze ostatniej dekady jeszcze nie było tak dosadnego obrazu życia społecznych dołów. Lupa idzie na całość, nie waha się używać naturalistycznych chwytów. Jeden z lokatorów łązi całkiem goły, pobita dziewczyna trzyma się za krocze, po rękach ścieka krew; inna, umierająca, ma przedśmiertne drgawki. Naturalizm Gorkiego, który wzbudzał sensację przed stu laty, został jeszcze wzmocniony. Bohaterowie zamiast niewinnie dziś brzmiących przekleństw („Jaj-daczko”, „bodajże cię”) używają współ-



Krzysztof Dracz (Pietiel) i Halina Rasiakówna (Wasyliśsa)

czesnych wulgaryzmów. Pociągi słychać tak, jakby przejeżdżały po tonach za teatrem. Dla publiczności chronionej przez całe lata przed takimi doświadczeniami jest to wstrząs. Wali się w grzyby gmach estetyki teatralnej, obracają się w proch wszystkie teorie o tym, co można, a czego nie można pokazywać na scenie.

Jednak wielkość tego przedstawienia nie polega jedynie na naturalistycznym portretowaniu rzeczywistości. Nie chodzi tu o wzbudzenie litości dla bezdomnych, ale o dochodzenie prawdy o człowieku postawionym w tak ekstremalnej sytuacji. I tu otwiera się prawdziwy dramat. Bo kiedy minie pierwsza fala obrzydzenia do pijanych, odmóżdżonych, pozbawionych obyczajowych hamulców postaci, pojawia się niepokojąca myśl, że to ludzie tacy jak my. Jeden był aktorem, inny księdzem, jeszcze inny policjantem, robotnikiem, urzędnikiem. Nagle coś w nich pękło, w każdym inna struna, i znaleźli się na śmietniku.

Aktorzy Lupa próbują, każdy na swój sposób, dotknąć tego słabego punktu w dzisiejszym człowieku, który na pozór jest świetnie zorganizowany i racjonalny, a w głębi ducha pusty, samotny i zrozpaczony. Najlepiej udaje się to Miłogostowi Reczkowi. Aktor to jego rola życia – nie tylko studium psychiki alkoholika, ale przede wszystkim portret degrengolady artysty. Wstrząsająca jest scena, kiedy Aktor próbuje wyrecytować

wiersz, po którym zawsze miał brawa, i nie może sobie przypomnieć ani słowa. Reczek pada wtedy na kolana i twarz wykrzywia mu grymas płaczu, od którego ściska w gardle.

Kostylew i Wasyliśsa, właściciele przytułku, w wykonaniu Zygmunta Bielawskiego i Haliny Rasiakówny są jak dwa upiory – on powłóczyący nogą, czerpie rozkosz z cudzego cierpienia i naśmiewa się z umierających; ona – silna i mściwa, potrafi kochać i bić do krwi. Ale kiedy w trzecim akcie wracają z kościoła, wyglądają jak para zamożnych mieszczan. Jak w lu-

dowym przysłowiu o diable, który przebrał się w komżę i dzwonił na mszę.

Przez spektakl przewija się cała galeria postaci poszukujących własnej tożsamości. Do prawdy o Baronie, byłym arystokracie – a może tylko mitomanie – próbuje dogrzebać się Wojciech Ziemiański w świetnym monologu o uniformach, które musiał zakładać przez całe życie. Wypowiada go, zdzierając z siebie ubranie, jakby chciał uwolnić się od przeszłości. Henryk Niebudek gra postać o podwójnej tożsamości – proroka Łukę, który pod sekciarską, niewzruszoną wiarą ukrywa niepewność i strach. Nastia Zofii Bajno to zniszczona życiem i alkoholem kobieta, która odradza się w marzeniu o idealnej miłości wziętym z romanisu, komicznym i groteskowym zarazem. Natasza Ewy Skibińskiej – zagubiona dziewczyna szukająca rozpaczliwie ciepła i miłości. Ich wspólną cechą jest głęboka samotność – nawet kiedy piją razem i śpiewają, są podszyci rozpaczą.

## Pod spodem

Mam za złe Lupa, że wykreślił Gorkiemu kwestię o bezrobociu, które dzisiaj brzmią równie oskarżycielsko jak na premierze w MChAT przed stu laty. Także finał z nostalgiczną pieśnią, do której dołączają umarli, nie wywołuje wrażenia, jakie zamierzył reżyser. Spektakl, zbyt mechanicznie grany, jest jeszcze surowy, aktorzy jeszcze nie zadowolili się w rolach.

Ale mimo to „Azyl” to wielkie przedstawienie, przemawiające niezwykle silnie do wyobraźni za pomocą drastycznej formy i odważnego przesłania. Lupa wpisuje się w nurt, który w kinie reprezentują takie filmy jak „Edi” i „Cześć, Tereska” – przywracania godności ludziom z tak zwanych społecznych nizin. Idzie przy tym dalej, bo nie tylko fotografuje rzeczywistość, ale ujawnia jej drugą stronę, prowadzi tam, gdzie upadają stare i rodzą się nowe wiary. Warto zaryzykować i pójść za nim jeszcze raz. **ROMAN PAWŁOWSKI**

Teatr Polski we Wrocławiu, „Azyl” według „Na dzień” Maksyma Gorkiego, przekład Anny Kamińskiej i Jana Śpiewaka, opracowanie tekstu, reżyseria i scenografia Krystian Lupa, muzyka Jacek Ostaszewski, kostiumy Piotr Skiba, premiera 24 stycznia na Dużej Scenie